

Nowy Świat

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU” • POZNAN, 31 maja 1959 • ROK IX Nr 75

DZIECI PATRZA NA NAS



Według wierzeń Hindusów, dziecko, wykupane przez matkę w świętej rzece Benares, będzie szczęśliwe (zdjęcie — Jack Metzger).

Dziecko, które rodzi się jako naj-niedołężniejsze na ziemi stworzenie, potrzebuje opieki, troskliwości, pomocy i wychowania nie tylko w pierwszych latach swego życia, lecz także i w późniejszych okresach swego rozwoju, gdy powoli wchodzi w krąg życia społecznego. A tutaj, mimo epokowych zdobyczy w zakresie techniki i przemysłu, żadna instytucja wychowawcza nie ma takich możliwości skutecznego i trwałego oddziaływania wychowawczego — jak rodzina.

Niestety — pedagogika rodzinna, czyli zasady wychowania rodzinnego — są jeszcze w dużym zaniedbaniu. Droga ku poprawie idzie nie przez przerzucenie obowiązków rodzicielskich na szkołę czy instytucję społeczno-opiekuńczą, lecz przez staranne wykonywanie tych obowiązków, jakie — z natury — ciąży na rodzicach.

Ostatnia wojna obciążyła dzieci i młodzież przeżyciami cięższymi, niż ich doświadczają jedno ludzkie pokolenie w ciągu całego życia. Nic więc dziwnego, że powojenne statystyki całego świata zasygnalizowały nienotowany wzrost zaburzeń psychicznych, które stają się problemem naszej epoki. Nasuwa się pytanie: co zrobiono w kierunku terapii psychicznego zdrowia dzieci? Czy zwłaszcza my — myślenie o rodzicach — zastanawiamy się poważnie nad tym problemem? Jakże często poprzestajemy na narzekaniach, że młode pokolenie jest krnąbrne i nerwowe, a nie znamy tego, co dziecko od nas, najbliższych wychowawców i opiekunów — oczekuje i potrzebuje.

W przededniu Międzynarodowego Dnia Dziecka warto

przypomnieć Deklarację Praw Dziecka, uchwaloną już dawno, bo w roku 1923 w Genewie, w siedzibie Rady Generalnej Związku Pomocy Dzieciom.

Pierwsze z nich — to prawo dziecka do miłości rodzicielskiej i troskliwości ich opieki; 2 — prawo do współczucia, życzliwości, sympatii i zrozumienia ze strony dorosłych; 3 — prawo do szacunku, sprawiedliwości i współdziałania; 4 — prawo do zabawy (która w wieku przedszkolnym odgrywa niezwykle doniosłą rolę, jako metoda poznawania i nauki „o przedmiotach”), prawo do swobody, powietrza, słońca i radości; 5 — prawo do towarzystwa innych ludzi; 6 — prawo do własnego łóżka i własnego „kąta”; 7 — prawo do własnego życia duchowego i 8 — prawo do rozwijania własnych uzdolnień i zamiłowań.

Są one proste i wymowne. Jeśli dzieci są największym skarbem narodu, a człowiek — największą wartością społeczną — to od pierwszych chwil życia dziecka należy otoczyć je troskliwą opieką i stworzyć odpowiedni klimat duchowy, jakim może być tylko racjonalnie pojęta miłość rodzicielska.

Wyraża się ona na codzień w rozumieniu prób dziecka zżywania się z otoczeniem i światem. Jakże często widzimy, że mamy, które dają dziecku klapsa za to, że... nabiło sobie guza i napominają je, „aby to więcej się nie powtórzyło!”, zapominając, że mają do czynienia z dzieckiem, a nie z człowiekiem dorosłym. Trzeba wiele życzliwości i... cierpliwości, gdy dziecko, dochodząc do rozwoju mowy, nieustannie pyta: „co to” i „dlaczego”. Trzeba wiele sympatii nawet wtedy, gdy dziecko przedstawia się mniej „korzystnie”, sympatii i zrozumienia jego motywów, uczuć i pragnień.

Dorośli, a w szczególności rodzice, powinni wiedzieć, że dziecko nie wolno lekceważyć, że nawet jego dziecięce smutki, jak mówił genewski przyjaciel dzieci, Edward Claparède, są „na jego miarę”. Unikać przezwisk i słów ubliżających, nie ośmieszać jego dziecięcych pomysłów i twórców fantazji, a przede wszystkim być wobec niego sprawiedliwym i wyrozumiałym. Dziecko bowiem w wieku szkolnym jest ogromnie na sprawiedliwość wrażliwe — jak tego dowodzą sądy dla nieletnich.

Dziecko — w miarę rozwoju — samo dobiega się swych praw, ale najczęściej bezskutecznie. Dorośli nie zawsze chcą je uznać, a nawet po przyznaniu — respektować. Nie znają tak elementarnych praw, jak prawo do zabawy i radości, zapominając o własnym dzieciństwie i o tym, że pogodnym dzieciństwem jest fundamentem zdrowia psychicznego na całe dalsze życie; że w zabawie na powietrzu, w atmosferze swobody dochodzą do głosu jego uzdolnienia i zainteresowania, kształtuje się charakter, rozwija i krzepnie wola.

Niemniej ważne jest prawo dziecka do własnego kąta, szuflady, stolika, półki, a choćby tylko stałego miejsca przy ogólnym stole do odrabiania lekcji.

Pomyślcie o tym przy okazji dziecięcego święta. Właściwe wychowanie młodego pokolenia jest przecież naszym obowiązkiem. Dzieci patrzą na nas — i są bardziej wrażliwe, niż nam się wydaje.

Dr Stefania FESPER

Irena Szeliga

ŻYDÓWKA

Opowiadanie nagrodzone II nagrodą w konkursie literackim „Nowego Świata”.

Rzucili ją na podłogę i zaraz wyszli nie podnosząc oczu. Kapo jeszcze został i przez chwilę rozmawiał z izbowa.

— Ja zaraz pokażę — powiedział po niemiecku. — Każdą sztukę najpierw trzeba rozłożyć. Niech jedna kobieta trzyma, a druga tnie. Potem niech wezmą te pocięte sztuki, o tak, w obie ręce i niech je drą na pasy. Pasy mają być długie i możliwie równe. Później trzeba je pozwijać w kłęski. Nożyc dałem trzy pary. Ty odpowiadasz za nie. Ale najlepiej drzeć rękoma.

— Jawohl! — odskrzyknęła izbowa. — My już wiemy. Jawohl!

I przy drugim „jawohl” dygnęła.

Kapo rozejrzał się po izbie, po rzędach przyzwoitych zwiniętych u węzłowia kocami, po świeżo wyszorowanej, nieprzeschniętej podłodze, po czym wyszedł pocierając kark w tym miejscu, gdzie niedawno zagoił mu się wrzód.

Przyniesiona odzież leżała na środku izby. Były tam męskie jesionki, kurtki na wataolnie, brudne, stare prochowce, odwrócone kraciastą podszewką na wierzch, mundury tramwajarskie, mundury kolejowe, jasne marynarki, czarne spodnie. Dużo czarnych spodni. Niektóre były gładkie, inne miały prążki. Z boku leżały popielate bryczesy, długie, całkiem porządne, z wewnętrznej strony wykładane skórą.

Na pierwszy ogień poszły płaszcze zimowe. Grube wełny, cholernie trudne do darcia. Strzępiły się tylko, rozłaziły pod palcami, dzieliły na włókna dziwnie poskręcane, niby to miękkie, podatne a przecież odporne. Najgorsze były stebnowki, paski wszyte w spodnie, kołnierze i podwójne mankiety. Tępe nożyce grubszego materiału nie brały. Wpijały się tylko w skórę rąk, zostawiając czerwone, półokrągłe ślady, jęczały jęzgotliwie otwierając paszce, aby w końcu ugrzęznąć w miękkim cieple sukna.

— Co za cholera! — stękały więźniarki, ssąc obolałe palce. — Dajcie nożyce! Która ma nożyce?

Siedzieli na podłodze z podkurczonymi nogami, pochylone nisko nad ciemną kupą szmat. Wyglądały jak czarownice.

— Dalej, Roza! — sarknęła izbowa. — Czego się gapisz, głupia? Łachów nigdy nie widział, czy co?

Mała, stara Żydówka, zaszuszona jak koryncka roszynka, poruszała się niepewnie pod ścianą, powoli wyłaziła z przyczmy, zbliżyła się do drobnych kroczków i kucnęła obok innych kobiet. Wyglądała bardzo śmiesznie w obozowym

stroju, w bluzie, wsuniętej w spodnie, z czapką wbicia mocno aż po same brwi. Coś niby stary chłopczyk, zwierzątko albo ptak. Siny, krogulczy nosek zwieszał się nisko, jakby coś stałe wachalała. A oczy w czerwonych obwódkach były kurcze, okrągłe i żółte.

— Masz, Roza — powiedziała gruba kobieta, wyciągając rękę. — Odpruj tylko ten pasek, ja już zrobię resztę. I pozwijaj pasy. To będzie twoja robota.

Skinęła Rozie głowę, patrząc czy izbowa to widzi. Kto chciał żyć w zgodzie z izbowa musiał być dobry dla Rozy. Izbowa lubiła Rozę. O tym wiedział każdy w „E 2”. Czasem tylko nowe z „zugangu” zaczepiały Rozę.

— Czy ona ma dobre w głowie? Nic tylko siedzi i patrzy. Czyś ty niemowa? Roza? Gadażże wreszcie co!

Roza kulila się w kacie. Jej krogulczy nosek drżał. A razem z nosem drżała, wisząca na czubku kropła.

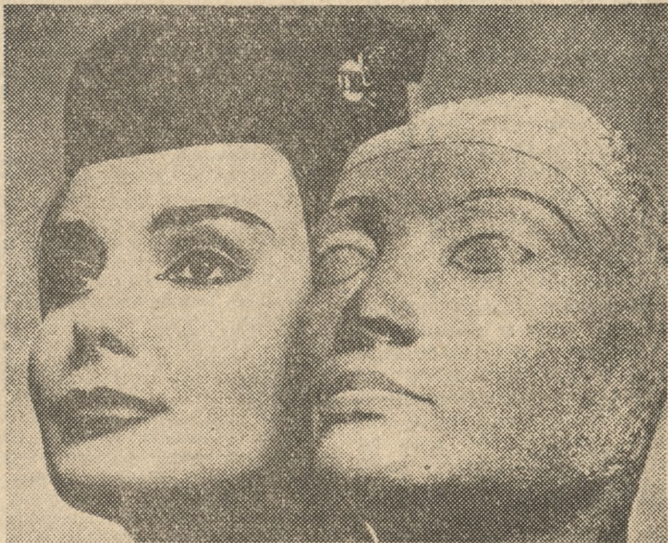
— Wy do niej tak nie tego — wkraczała zaraz izbowa. — Wyście z nią świni nie pasy. Czego od niej chcecie? Jeszczeście za zielone, żeby nad nią wydziwiać.

Niektórym się zwierzała: — Roza to nie byle kto. Roza ma męża. Wszystkie dzieci kształcone. A za Polski to ona miała sklep.

Izbowa była tu najdłuższą. Przenieśli ją z siódmego fortu, jak tylko założyli obóz w Zabikowie. Niemcy nazywali go „Straflager Lensingen”. Rozę przywieźli z mężem też już przed 1,5 rokiem. Wszyscy ich wtedy widzieli. Mieli ogromne walizy, a sami byli mali. Gdyby tu nie był obóz, to można by się z nich nawet śmiać. Ten mąż był bardzo gruby, wyglądał, jak gruszka i trzymał w ręku kapelusza. Tak go trzymał przez cały czas. I stale był pochylony, jakby się wszystkim kłaniał. Zaraz ich rozdzielili. Jego zabrali na dół, za basen, do politycznych, a Rozę odwyszawili, przebrali i dali tu. Dawniej, kiedy w kuchni był jeszcze gruby kucharz, także od politycznych, to mąż Rozy przez niego przysłał Rozie chleb. Izbowa go przynosiła. Ale kucharz wpadł, dostał potężne lanie, poszedł do bunkra, a potem na transport. Wtedy się kontakt urwał. Od politycznych chodził tylko lekarz, ale on nie chciał przenosić. Może się bał. Ale izbowa miała różne swoje chody i nieraz mówiła Rozie, że jej mąż ją pozdrawia. Listu nie mógł napisać, bo może nawet nie miał czym.

— Jemu jest dobrze, Roza — zapewniała izbowa. — Jemu lepiej niż tobie. Znowu masz pozdrowienia. Jeden z

(Dokończenie na str. 2)



Panująca w Egipcie około 3.300 lat temu królowa Nefretete stała się stała w naszych czasach dzięki popiersiu, znanemu w 1912 r. Obecnie rzeźba zdobi galerię muzeum egipskiego w Berlinie.

Ostatnio „odkryto” żywą kopię tej piękności. Jest nią stewardessa francuskich linii lotniczych — Annie Labzine. Widzimy ją z przywiezioną z Kairu do Paryża niedokończoną reprodukcją (brak na głowie mitry) popiersia królowej. Popiersie „przyłeciało” z Egiptu samolotem, na którym właśnie Annie pełniła stewardessowski dyżur.

Foto: A. P.

Konrad SutarSKI

KONFESJONAŁ

wsluchany w granie pozytywek
gromadziłem w sobie niepokój
spadających gwiazd
ja konfesjonał przyjmowałem zwierzenia
rzeki pełne usprawiedliwień
rzeki szukające rozgrzeszenia
przebaczalem czekając czy dni znów
odbiorą dniom pewność

kiedy poznałem cię zobaczyłem że jesteś
łagodnym płomieniem
że przy tobie cichną nawet liście wikliny

nauczony melodiami pozytywek
uwolniony z krat konfesjonału
nie mogę go teraz ofiarować tobie
nie chcę zmieniać się w cierpiący pierścien
który objąłby niepokój mego dawnego
spadania



Edmund Pietryk

MOJE MIASTECZKO

matce

krokami marzeń przemierzane
w wieczory pełne mglistej nudy
uliczki starszej rezygnacji
drogi mej najdzieciętszej złudy
to oczy matki zatroskane
i odrapany domu próg
wspomnienie jakby z wiersza Błoka
— apteka, światło błyska, róg —

ARTYSTYCZNY IMPORT I EKSPORT

W ubiegłym roku zwiększyliśmy znacznie zakres naszych kontaktów kulturalnych z zagranicą. Utrzymujemy kontakty z 44 państwami. Aktualne plany*) zapowiadają się bardzo interesująco.

TEATR

Gościmy już w Polsce Teatr Dramatyczny im. Puszkina z Leningradu. Wkrótce powitamy Operę Chińską z Seczuanu. Rozważa się także możliwości sprowadzenia z Włoch Teatro Morelli — Stoppa, Opery „La Fenice” i teatru Lalkowego Podrecca. Dużym wydarzeniem kulturalnym będą niewątpliwie występy Teatru Narodowego z Aten, który chce wystawić jedną z klasycznych tragedii greckich.

Z naszej strony teatr „Groteska” z Krakowa odwiedzi Skandynawię, w ramach bezdewizowej wymiany z Czechosłowacją Teatr Wyspiańskiego z Katowic pojedzie do Ostrawy, a Teatr Dramatyczny z Ostrawy — do Katowic. Poza tym Teatr Ziemi Mazowieckiej pojedzie do Pragi, a Teatr Wiejski z Pragi przybędzie do Warszawy.

Długa droga czeka „Mazowsze”, przygotowujące wyjazd do Jugosławii, Szwajcarii i Austrii podczas Światowego Festiwalu Młodzieży, oraz — pod koniec tego roku — na Daleki Wschód. Zespół „Śląsk” po olbrzymim powodzeniu podczas ostatniego tournée w Skandynawii, wybiera się do ZSRR i Stanów Zjednoczonych.

MUZYKA

Głównym akcentem muzycznym tego roku będzie tradycyjnie „Jesień Warszawska”, w czasie której będziemy prawdopodobnie mogli usłyszeć orkiestrę szwajcarską „Suisse Romande” (dyryguje słynny Ernest Ensermet, jako solista wystąpi Hansheinz Schneeberger), Orkiestrę Symfoniczną Radia z Budapesztu, zespół solistów z Zagrzebia „Janigro”, zespół kameralny z NRD i kwartet J. Parrenin z Paryża. Spodziewamy jest także przyjazd flecisty Ernesto Czelloni z Włoch, śpiewaczki Josephine Nendick z Anglii i pianisty belgijskiego Marcelle Marcenier.

Jeżeli chodzi o zagraniczne wyjazdy polskich zespołów muzycznych, przewiduje się występy Orkiestry Filharmonii Narodowej w ZSRR, Francji, NRD i ewentualnie w Danii. Możliwe jest, że Chór

*) Biura Współpracy Kulturalnej z Zagranicą — BWKZ.

Chłopięcy z Poznania pod dyktando Stefana Stulgrosza da koncerty w Grecji i we Włoszech. Wielu naszych młodych muzyków weźmie również udział w międzynarodowych konkursach. Przewidziano także szereg wyjazdów indywidualnych naszych pianistów (Barbara Hesse-Bukowska, Regina Smędzianka).

PLASTYKA

W tej dziedzinie projektujemy polskie ekspozycje w ZSRR, Rumunii, Bułgarii, Węgrzech — wystawa prac i szkiców Matejki, w Jugosławii — prymitywów polskie, w Czechosłowacji — retrospektywna wystawa malarstwa polskiego. Do Włoch i Szwajcarii pojedzie polskie malarstwo współczesne, a w Paryżu otworzymy oficjalną wystawę państwową pt. „50 lat sztuki polskiej”. Dalekiej Islandii pokazujemy polską grafikę współczesną, Meksykowi — cykl meksykański Tadeusza Kulisiwicza, a USA — „Polskę w fotografii artystycznej”. Do NRF wysyłamy „Polską sztukę ludową”, w Szwajcarii będzie eksponowany plakat polski. Polska weźmie również udział w wielu wystawach międzynarodowych (w Sao Paulo i Paryżu oraz w międzynarodowej wystawie sztuki krajów socjalistycznych w Moskwie).

Do najciekawszych wystaw państwowych, które prawdopodobnie sprowadzimy z zagranicy w tym roku, należą niewątpliwie: „Współczesna sztuka egipska”, „Współczesna sztuka włoska”, „Sztuka islandzka” i wreszcie „Młoda plastyka radziecka”. Z ekspozycji malarskich otwarta jest już ciesząca się dużym powodzeniem wystawa „Od Gauguina do dnia dzisiejszego”. Obejrzeć będziemy mogli również wystawę retrospektywną malarstwa węgierskiego i współczesnego malarstwa japońskiego. Sztukę ludową, użytkową i prymitywną zaprezentuje nam Jugosławia, Chiny i Mongolia. Z Francji spodziewamy się rysunków M. Chagalle'a, a z Holandii reprodukacji dzieł Van Gogha. W dziedzinie fotografii artystycznej USA przysyłają „Rodzinę człowieka”, a Francja i Włochy — indywidualne wystawy fotograficzne.

Godnym podkreślenia jest fakt, że w roku bieżącym BWKZ zwraca szczególną uwagę na usystematyzowanie wymiany kulturalnej z krajami skandynawskimi, Bliskiego Wschodu (ZRA, Turcja, Iran, Irak).

Iw.

Nigdy chyba nie było tak wielkiego zamówienia społeczne na książki historyczne, jak w ostatnich latach. Kilka w tym przyczyn. Jedną, to niewątpliwie zbliżające się Tysiąclecie naszej państwowości. Druga — to chyba traktowanie powieści historycznych jako „odskoczni życiowej”, ucieczka w czasy dawne, nie raz dla nas baśniowe. Interesują nas już nie tylko losy bohatera, ale także sposób pisania, a także sam autor.

Oto jeszcze jeden cykl cieszący się również popytem tomików Biblioteki Powieści i Romanów. LSW zaofiarowała ostatnio z tego cyklu Adama Krechowickiego „Fiat lux” — obraz historyczny z czasów Jadwigi (I tom) i Jagielly (II tom) wydany po raz pierwszy w Warszawie w r. 1901.

Przy tej okazji kilka słów o samym autorze. Syn powstańca styczniowego i członka spisku Konarskiego po studiach w Kijowie i Lwowie zdobył sobie uznanie przede wszystkim powieściami historycznymi (pisał również komedie i dramaty). Wspomniana powieść jest doskonałą okazją do oglądnięcia przez dziurkę od klucza do życia prywatnego wielkich i małych ludzi ostatnich dziesięcioleci XIX wieku. Bardzo tu ciekawie, z dużą znajomością ów-



czesnej obyczajowości, jest przedstawiona miłość Jadwigi do Wilhelma i znane romanse Jadwigi. „Dersław z Rytwian” — T. J. Jeża (Zygmunta Miłkowskiego) wprowadza te same problemy, ale w czasach o sto lat późniejszych (XV w.); tu już jest inna sytuacja, nowe to polityczne, nowe konflikty.

Ale najbardziej nas Wielkopolan zainteresuje z tej serii powieść historyczna z następnego. XVI wieku, pt. „O mitrę hospodarską” Wielkopolanina, a ściślej pieśniarza Teodora Jeske Chońskiego. Urodzony w r. 1854, uczeń gimnazjum w Sreńm i w Poznaniu, dziennikarz i publicysta wszedł również do literatury powieściową z dawnych dzieł, a przede wszystkim „trylogia”: „Gasnące słońce”, „Ostatni Rzymianin” i „Tłum”, „Korona”. (wydane niedawno w Wydawnictwie Poznańskim). Nie mniejszą poczytnością cieszyła się książka „O mitrę hospodarską”, po raz pierwszy wydana prz. 55 laty. Bohaterzy tej powieści, to: Jakub Bazyli Herakles adoptowany i wygnany syn książątka greckiego — szukający księżstwa dla siebie; Olbracht Łaski — królewiczkę z olbrzymimi włościami na Węgrzech i Podkarpaciu, który na własną rękę chce wprowadzić błędne księstwo z Samos i Paros, Zborowscy — młodzi i starzy, gospodarze Aleksander i inni o większym i mniejszym znaczeniu. I tu jak w poprzednich tomach kawał życia z XVI wieku. Także tę książkę czyta się jednym tchem.

J. P.

Adam Krechowicki: Fiat Lux — 2 t. LSW 1959, 224 i 257 str. cena 70 zł. T. J. Jeż: Dersław — LSW 1959, str. 520, cena 33 zł. Teodor Jeske Choński: O mitrę hospodarską — LSW 1959, str. 335, cena 22 zł.

Alchemicy światła



R. S. Ulatowski — Portret żony i syna.

Dziś, kiedy fotografia stała się potrzebą codzienną, mało kto wspomina czasy, w których było to sensacyjną nowością. Pierwszą wystawę dagerotypów w Warszawie zorganizował w r. 1836 Jan Radwański. Był oryginalnym osobliwym, ale zasłużonym wielce jeśli chodzi o propagowanie nowości naukowych i technicznych. On to też swego czasu proponował by wodór nazywać „lżeniem” (bo lekki) a tlen „żwieniem” (jako, iż życie podtrzymuje). W konsekwencji tego, należałoby nazywać tlenek wodoru (woda) — „Żywieniem lżenia”. Niemniej fakt zorganizowania pierwszej wystawy „fotograficznej” na ziemiach polskich pozostaje jego zasługą.

W Poznaniu pierwszy dagerotyp oglądać można było w księgarni J. K. Żupańskiego (1841 r.), który z Paryża sprowadził zdjęcie Louvre'u. Bardzo niewyraźny — opowiada Mott — musiałem go bowiem kłócić na różne strony pod światło, nim obraz pochwyciłem moim. Zaraz też dodaje: „pierwszą zaś tutaj fotografię, to jest odbitek na papierze, pokazał mi czterdziestoletni ósmego roku Karol Libelt, przywiózł ją z Frankfurtu nad Menem... Wzglądało to jeszcze nieszczególnie, iż gdyby Libelt nie był zaręczal, że to ma być jego fizjonomia nikt by tego odgadnąć nie zdołał”.

Po tem już z „fotografistami” w Poznaniu bywało coraz lepiej. Obok dagerotypisty-amatora, Polaka Wiktora Kurnatowskiego (ok. 1843), zjawili się też i „zawodowi” przedsiębiorcy. Był nim Lipowicz, aptekarz z Leszna, któremu obfity, choć ziemią zalutujący chleb pigularski służył przedzielnym. Sprowadził się więc do Poznania. Pierwszy zakład „dagerotypiczny” w naszym mieście powstał w r. 1844, w ogrodzie Żychlińskiego, przy dzisiejszej ul. 23 Lutego. Lipowicz wcześniej jednak zrezygnował z foto-

grafi i zaczął fabrykować na wozy na Jeźcach. A potem zjawili się już fotografowie. A więc wspomina się o Zeuschnerze, synu cz. bratanku znanego lekarza-oku listy z Międzyrzecza. Zeuschnera zdaje się jednak ubiegł niejaki Filehne, pierwotnie introligator. On także założył w ogrodzie Żychlińskiego swoje „atelier”, w tym samym domu przy Fryderykowskiej gdzie później pracowała Emilia Mirska. Do jej ciekawej i sympatycznej sylwetki wrócimy za chwilę, przed tym wywołać jednak należy z pamiętnika dwa inne imio-

WĘDRÓWKI PO STARYM POZNANIU

na: Henryka Engelmana (1814—1878) i Nepomucena Seyfrieda (1811—1892).

Engelmann pochodził z Inowrocławia i według Mottgo, „choć Żyd, il était bon diable, był wesoły, szczerzy i przyjaźliwy, przy tym niezwykle czułego usposobienia, tak, iż się kilka razy przy mnie popłakał, gdy była mowa o śmierciach i smutnych wypadkach”. Opanował dobrze arkaną ówczesnej sztuki fotograficznej, a i synowi swemu Józefowi (1846—1910) umożliwił dobre przygotowanie fachowe. Pierwszy jego zakład znajdował się raczej przy alejach (bliżej poczty), podczas gdy syn jego przeniósł go do nowego lokalu pod nr. 8, w sąsiedztwie muzeum. Ten właśnie zakład fotograficzny przejął po latach Roman Stefan Ulatowski. Początek działalności Engelmana przypada na rok 1851.

Polak Nepomucen Seyfried przywędrował ze Wschowy, był malarzem z zawodu i weteranem powstań narodowych. Około roku 1860 założył pracownię w pawilonie przy Podgórnej 1, tam gdzie

Moniuszkowskie „Śpiewniki”

Twórczość Stanisława Moniuszki, jakkolwiek bardzo wszechstronna, znana jest ogólnie przede wszystkim z dziedziny operowej. Sylwetkę artysty identyfikujemy się na ogół tylko z twórcą „Halki”, „Strasznego dworu” i innych oper. W związku z 140 rocznicą urodzin Stanisława Moniuszki, którą obchodzimy w maju, warto przypomnieć, że ten wielki kompozytor wniósł do zasobów polskiej kultury muzycznej jedyne w swym rodzaju, bezcenne „Śpiewniki domowe”, w które włożył wiele pracy, wydając sześć kolejnych zbiorów (następne ukazywały się dopiero po jego śmierci). Złożyły się na nie proste piosenki ludowe, melodie nucone okolicznościowo po wsiach polskich. Wśród zebranych pieśni nie zabrakło także melodii do ballad, dumek Mickiewicza, Malczewskiego, baśni gminnych jak „Dziad i baba” Kraszewskiego, do „Trenów” Kochanowskiego, gawęd Syrokomli czy liryk Czeszota.

Moniuszko, jak zwykle skromny, przy wydaniu pierwszego swego zbioru (w Wilnie, w roku 1844), nazwał pracę swą „pomnożeniem repertorium śpiewów krajowych”. Autor „Śpiewników” jako cel wytknął sobie bowiem podniesienie kultury narodowego pieśniarstwa polskiego. Zrezygnował, jak sama nazwa sugeruje, kompozytorowi nie zależało — w tym wypadku — na zawiadnięciu estradą koncertową, lecz na spopularyzowaniu wśród społeczeństwa wartości sztuki przejawnie ludowej, uszlachetnionej i stylizowanej przez jego nieprzeciętny talent.

Cel ten osiągnął. Piosenki jego dotarły nie tylko do szlacheckich dworów, lecz także rozbrzmiały pod strzechą polską. „Śpiewniki domowe” znalazły uznanie także wśród

była brama wjazdowa do „Hotelu Francuskiego”, w pobliżu narożnika alei.

W komentarzu do „Przechadzki po Mieście” czytamy, jakoby Emilia Mirska była następczynią Seyfrieda. Sądźmy, iż chodzi tu o ew. następstwo chronologiczne, gdyż Mirska raczej zajęła placówkę Filehnego, o czym już wspominaliśmy. Gorzej, iż czigodny Autor komentarza „i. w.”, przemienił Emilię na Balbłę z Świerchlewskich, z Krotoszyńskiego rodem jakoby. Z poręki tegoż kronikarza, staruszka 77-letnia umierać jest zniewolona w 48 roku życia (podaje daty: 1848—1896). A tymczasem czytamy w „Dzienniku Poznańskim”, że dnia „1 stycznia 1896 o godzinie 8 1/2 rano” zmarła w wieku lat 77 „Emilia z Zwierzchlejskich”. Żyła jeszcze ludzie, którzy u niej z młodu bywali, pamiętają jej wyniosłą sylwetkę, jej wiek, doskonałą francuszczyznę i znajomość Paryża, skłonność do palenia papierosów, jej psa Mahdiego i samowar (!). Szeptano sobie, że pani Emilia to właściwie nie Mirska a Lubomirska i że była sybi-raczka. Toteż jej ew. krótkożytność pochodzenie, zanotowane w „evidencji ludności”, mogło być pospolitym wybiciem politycznym. Wtedy to bowiem Prusacy rugowali dziełki tysięcy Polaków, pochodzących z innych dzielnic, a osiadłych w W. Księstwie Poznańskim. „Wiem niejedno, co by rzetelny szacunek dla jej osoby w tobie wzbudziło” — zwierza się Mott.

W cieniu Emilii Mirskiej, rzecz można, narodziło się powołanie „fotografisty” Romana Stefana Ulatowskiego. Bolesław Samoliński, wuj Romana i Kazimierz Ulatowski, u którego się obaj chłopcy wychowywali nabył w roku 1899 zakład Mirskiej, od jej następcy Cieślińskiego. Znajdował się on już wówczas przy placu Teatralnym nr 3 (Wilhelmskim-Wolności) w „Hôtel du Nord”.

Wspólnikiem Samolińskiego był początkowo Ignacy Andrzejewski, weteran z roku 1863. On to swego psa nauczył słuchać jedynie języka niemieckiego, gdyż uważał, iż tylko tym językiem wolno przemawiać do tego czworonoga. Za czasów Cieślińskiego atelier rekrutowało swoją klientelę spośród żołnierzy, tym bardziej, że po przeciwnie stronie placu była komenda rejonu. Nie brakło więc chętnych, zwłaszcza gdy wracali do cywila.

Pewnego dnia r. 1866 oddało 15-letniego Romana Stefana (Ciąg dalszy na str. 3)

(Dokończenie ze str. 1)

kuchni był u lekarza, tam przychodził taki, co twojego męża zna. Kazał pozdrowić żonę. Czego beczysz? Oj, Roza, Roza...

Kobiety machały łokciami, wywracając na wierzch podszewki. Jedwab dał się łatwo zwłaszcza pod pachami, bo był przepocony. Wszystkie babskie łachy pręły się raz dwa. Kiedy zdjęto z góry porządniejsze ubrania, zaraz robota ruszyła i można było nabrać tchu. Bo te na spodzie były zniszczone, wyświechtane, wytarte, noszone tak długo, że się stały gładkie, błyszczące i cienkie jak papier. Ciągle się w nich chodziło, siedziało, leżało, na plecach, na boku, na brzuchu, byle jak. Gniotło się je i szargało po podłodze, na przyrządach, na deskach, na betonie, na cementcie, na ziemi. Te od razu pękały przy pierwszym dotyku. Nie trzeba było nożyć. Rozdzierały się równo, do samego dołu, wydając ostrą, przenikliwą trzask. Czuło się było paskudnie, bo przyszły z odkaźni, a przy darcu leciały z nich drobny, szary pył, może zwyczajny kurz, a może cząstki włókien zniszczonych, przetartych, pokruszonych na proch. Niektóre ubrania nie były nawet stare, ale poszarpane. Zwłaszcza marynarki wszystkie miały dziury. Z przodu i na plecach. Kolarzy też nieraz brakowało, rękawy były odrute, a kieszenie rozdarły. Podszewki zaś przeważnie były poplamione czymś brunatnym, co na pierwszy rzut oka wyglądało, jak rdza. Każde ubranie miało takie plamy, niby olbrzymie

kleksy, otoczone rozproszonymi kropkami. Na spodniach było widać długie, wąskie smugi, ciągnące się aż do końca nogawek albo rozpryskujące w różne wzory. Swetry były całe umazane. Po swetrach każdy mógł poznać, że to była krew. Wtedy już wszystkie wiedziały, że to ubrania po rozstrzelanych. Tych z bunkru skazańców.

— Nie gapić się! Nie gadać! — wrzeszczała izbowa, ale cze mu się tak rozzdzierała tego nie wiedział nikt. Bo było bardzo cicho. Nożyce podzwania-

ZYDÓWKA

ły i czasem trzasnęła sucho pękającą tkaniną.

— Czemu ty nic nie robisz, Roza? — spytała gruba kobieta. — Patrz ile pasów leży...

Chciała jeszcze coś dodać, ale Roza ją nagle pchnęła. Wpiła się w szare ubranie, leżące na samym spodzie. Wygięta, czerwona z wysiłku, z drżącym krogulczym nosem, z wytrzeszczonymi oczyma ciągnęła je z całych sił. Wyszarpnęła je wreszcie ze stosu i upadła z nim razem na podłogę.

— Patrzcie co Roza wyprawiła! — powiedziała kobieta z wyrzutem. — Zwariowałaś, Roza, czy co? Czego się rozpierzchasz? Dalej, wynoś się stąd!

Roza odeszła od kobiet. Patrzyła na ubranie, które leżało tam, gdzie je rzuciła. Nos jej się tak wydłuził, jakby kto na nim zawiesił ciężarek. Żółte oczy mrugały. Poszła do

swojej przytę, wgramoliła się na piętro i usiadła skulona.

Nikt się nie obejrzał. Roboty było dość. Nadchodziło południe. Potem przyszła wachmanka, pytała kiedy skończą i jak daleko już są. Brzęczą kluczami krzyczała, żeby nie marudziły.

Wieczorem szmaty zabrano. Izbową zmiołła strzępy, drobne skrawki, gałgany, włożyła wszystko do kubka i wyniosła to gdzieś. Kobiety dostały kawe, zjadły chleb i poszły na apel. Wychodząc wołały Rozę.

Roza zwlókła się z przytę. Po apelu wróciła i usiadła tak, jak poprzednio.

— Czysta mała! — mówiły kobiety. — Nie wyglądasz się, Roza. Zjedz chleb i idź spać!

W barakach pogasiły światła. Więźniowie z nowego transportu przebiegli z głuchym tupotem. W oddali skomliły i wyły psy. Wartownik, gwiżdżąc walc, obszedł dwukrotnie barak, sprawdził czy okna zamknięte i dla postrachu walał w ścianę kolbą karabinu. Gwiżdżanie przeszło w nucię, kroki się oddaliły i nie było już słyhać nic.

— Szpisz, Roza? — spytała kobieta, którą Roza popchnęła w południe. Wstrzymała na chwilę oddech, wpatrując się w mrok.

Odpowiedzi nie było. Ani szmeru, ani nawet oddechu. Kobieta stęknęła żalostnie i odwróciła się na drugi bok.

Miała pulchne, miękkie ciało, uwierały ją twarde deski i drań szorstki koc. Dusila ciemność, ciężka od chrapliwych bełkotów, gęsta od smrodu i niespokojna od snów. Po chwili wstała, ziewając, wyjęła kubek spod przytę i poszła poomacku w kąz izby, gdzie stały kubki. Znalazła czyste wiadro i napiła się wody. Wracając, zboczyła pod okno i przysiadła na przytę izbowej.

— Co jest Rozie, Józia? — Nie mogę spać. Ona tam jeszcze siedzi. Jej coś jest.

— Nie gadaj do niej wcale — zaszepiała w ciemności izbowa. — Jutro wszystko minie. To już nie pierwszy raz.

— Siedzi i się nie rusza.

— Niech siedzi. Chodź no tu bliżej: Ja ci powiem. Ale nie mów nikomu. Roza znalazła w tych lachach ubranie swojego męża. Mówiła, że je poznała.

— Eee... Nie może być.

— Pewnie, że nie. Takich ubrań jest wiele.

— Mogła się pomylić.

— Pomyliła się.

— Tak?

— Dzisiaj nie chce mnie słuchać. Nic sobie nie da powiedzieć. Ale jutro znowu uwierzy. To nie było ubranie jej męża.

— Wiesz na pewno?

— Ja dużo wiem. Nie powiesz jej?

— Ja? Coś ty?

— To nie było ubranie jej męża...

— Nie?

— Nie. To nie mogło być jego ubranie. Jej męża zabito od razu, gdy tu przyszła, na drugi dzień.

Irena SZELIGA

Polskim pieśniom „Śpiewniki”
two umrzeć nie dadzą”
Opr.: R. HUDYMA

Drzwi gnieźnieńskie

— najcenniejszy wytwór sztuki romańskiej XII wieku w Polsce

Gniezno posiada zabytek historyczny i artystyczny, jakiego równego nie ma w całej Polsce. Są to sławne drzwi katedry gnieźnieńskiej z XII wieku, wspaniałe dzieło polskiej sztuki romańskiej naszego wczesnego średniowiecza. Drzwi te do niedawna zdobyły boczny, południowy portal świątyni, obecnie znajdują się w jednej z kaplic.

Zadziwiają one do dziś swym dojrzałym pięknem i śmiałością rozwiązywania zamysłu tematycznego. Jest to odlany w brązie 18 scen z życia i śmierci św. Wojciecha, z których 9 dotyczy Czech, Niemiec i Włoch, a pozostałe obrazy — Polski. Mamy tu blisko 100 rzeźbionych postaci.

Według Joachima Lelewela drzwi te są darem Bolesława Krzywoustego. Jako czas ich powstania nasz historyk przyjął, na podstawie kroniki Gallia Anonyma, okres silnego ożywienia kultu św. Wojciecha, którego wyrazem była pokutnicza pielgrzymka Krzywoustego do Gniezna w 1113 r., a drzwi stały się następnie jego darem ekspiacynym. „Tematyka drzwi — jak pisze Lelewel — zajmuje się tylko ziemskimi zdarzeniami. Twórcy postaci szukali wzorów w ubiorach ludzi ówczesnych, na tej ziemi żyjących, duchowych i świeckich oraz u zbrojnych Prusaków”. I to nadaje drzwiom gnieźnieńskim najcenniejszą wartość historyczno-obyczajową owego okresu naszych dziejów. Archeolog W. Hensel zwraca uwagę na ówczesny wysoki poziom kultury materialnej, czego „wymowną ilustracją jest poziom, jaki osiągnęło rodzime odlewnictwo w XII wieku” („Sto-wiańszczyzna średniowieczna”, str. 193).

W drzwiach zdumiewa realizm scen rodzajowych, począwszy od narodzenia św. Wojciecha, od chwil domowych i spraw wychowania do obrazów wędrówek dalekich aż do momentów wielko-wiatowych i wreszcie do tragicznej śmierci z rąk Prusaków. Zachwyca spokojna, harmonijna budowa i równowaga scen, podział płaszczyzn, układ draperii, umiejętność grupowania i poczucie estetyki i rytmu w linii ornamentacyjnej.

Alchemicy światła

(Dokończenie ze str. 2)

na (ur. 2.08. 1881) na naukę do fryzjera Mencja na Chwaliszewie. Po trzech dniach kan dydat na Figara jednak uciekł z razury i zjawił się u wuja.

No i zaczęło się. Po nauce, jeszcze u Cieślińskiego, nastąpiły podróże i praca w świecie: Gubin, Drezno, Flensburg w Danii, Berlin. W Berlinie asystował przy fotografowaniu Wilhelma II. i „Najjaśniejszy pan” podał mu rękę oraz łaskawie zapytał skąd pochodzi. Dowiedział się, że z Poznania i że jest Polakiem. Po tem własne atelier w Poznaniu przy pl. Wolności 17, pracownia w Bydgoszczy (1906—1912).

Wreszcie po 1-iej wojnie obejmuje placówkę po Engelmannie przy Alejach. I oto zaczął się najpłodniejszy okres jego pracy zawodowej i społecznej. Któż nie zna jego wspaniałych prac, przekraczających 15.000 pozycji. Pracował zawsze w oparciu o świetny nowoczesny sprzęt i najnowszą literaturę fachową.

Wydął ponad 20 albumów: Ratusz Poznański, Fara Pozn. Barok Pozn., Krotoszyn, Leszno, Goluchów... Wśród jego klientów znajdujemy piękne nazwiska jak np.: Wojciech Kossak, czy Feliks Nowowiejski. W roku 1932 kapituła seniorów Fotoklubu Polskiego mianowała go członkiem klubu. Dyplom podpisał Jan Błahak.

Organizował też ruch zawodowy w Wielkopolsce, współpracował z ośrodkami stołecznym. W roku 1923 zakłada i redaguje pierwsze w Polsce fotograficzne czasopismo fachowe „Światłocien”.

Zawarł się na zawsze obojętny Romana Stefana Ulatowskiego, ostatniego z pionierskiego pokolenia fotografików polskich — zmarł 26 marca br. Należał do tych, którzy uczyli nas jak utrwalać chwile i twarze niepowracające.

Wiktor TUTEJSZY

Rzeźbione wrota gnieźnieńskie stanowią już z górą od 100 lat przedmiot zainteresowania wielu wybitnych polskich i zagranicznych badaczy dzieł kultury i sztuki. Do dziś nie zamknięta została dyskusja co do genezy oraz historycznego i kulturalnego znaczenia drzwi gnieźnieńskich. O tych drzwiach pierwszy pisze Adam Naruszewicz („Historia narodu polskiego”), pisze Tadeusz Czaicki, a pod koniec pierwszej połowy XIX wieku — Edward Raczyński („Wspomnienia wielkopolskie”); piszą już za naszych czasów Tadeusz Dobrzeński, Marian Morelowski („Prace wileńskie „Historii i Sztuki” — 1935 r.”). Obecnie zaś na progu naszego Tysiąclecia ukazało się we Wrocławiu kapitalne zbiorowe dzieło w III tomach, wydane przez Państwowy Instytut Sztuki pod redakcją prof. dr. Michała Walińskiego (Wrocław 1956, 1958, Zakład im. Ossolińskich). Wypowiadają się tam takie powagi naukowe, jak Aleksander Gierymski, M. Morelowski, Z. Kępiński, J. Korwańska, S. Wiliński i inni. Lecz i to dzieło nie daje ostatecznej odpowiedzi na szereg wątpliwości, które niejednokrotnie wchodziły w orbitę dyskusji, a nawet zaciętych sporów naukowych.

Nie wiemy kim byli projektodawcy drzwi — artyści i kto je fundował. Przeważa wśród historyków sztuki pogląd, że fundatorem był arcybiskup gnieźnieński Jakób ze Żnina, a po jego zgonie — arcybiskup Bogumił Piotr, który zaś na to dzieło Bolesław Krzywousty. M. Morelowski przypuszcza, że artyści pochodzili z zakonu Benedyktynów w Mogilnie. Wszyscy zaś historycy polscy odrzucają tezę history-



Jedna z 18 scen drzwi gnieźnieńskich. Sen św. Wojciecha.



Z TORBY STAREGO ŻARTU

Wybaczone mi, waszmościowie, że tym razem nie przywiozłem, jak wy tam zowiecie, reportażu. Uganiałem na mojej skapie-chudzinie z wieku do wieku, tu i owdzie zerknąłem do dworku lub pałacu, a potem zmęczony i głodny w Czacu do karczmy wstąpiłem. A tam zaraz poznali mnie starzy kompani: wydrwigrosze, włóczyki, pielgrzymi co Boga i ludzi nabierają, zezowaci, piegowaci, mądrzy i głupi, ino pod jednym znakomici, że pić i gadać umiejący.

Hej, mój Boże, uśmiełem się, aż w brzuchu kolki się owały, karczma ryczała za mną, karczmarz płakał z uciechy. A oto com zanotował z tych anegdot i facecji staropolskich:

Chłopowi nie chciały iść woły. Jak na pogrzeb się wlokły.

— Ady mzustarda posmaruj im pod ogonami! — jakiś dowiecniś doradził.

Chłop postuchał. Wołom nie mógł dać rady, tak szły do domu. Z recepty sam skorzystał też raczył. Przyjechał przed chatę i na żonkę zawołał:

— Trzymaj woły, trzymaj, a ja sobie jeszcze trochę polatam!

Jakowyś brzuchacz wychylał się z czterokonnej karety:

— A skąd to idziesz, chami?

— Ze Strzelna, wielmożny panie.

— Tam babę gdzieś catują. Czy ją też calowałeś?

— A gdzież tam biednego dopuszczają, przed powozami docisnąć się nie można, magnaci do uszyńskiego pierwsi!

W roku 1633 królewicze Jan Kazimierz i Władysław musieli składać przysięgę na wierność. Nasz Krzysztof Opaliński z Sierakowa im radził:

— Przykleńcie choćby na jedno kolano.

— A czemuż waszmości przysięgacie żoncom, stojąc? — zapytał Jan Kazimierz.

— Dlatego że też często zdradzamy... — odpowiedział wielmoża z Wielkopolski.

Dziewczyna na prosiaka wołała:

— Maluśki, do chlewa?

A król Stefan Batory, który po polsku nie umiał, rzecze na to po łacinie:

— To u was „może prosiak został kanonikiem krakowskim, bo ma nazwisko na „ski”?”

W Szadku niedaleko Łodzi na pogrzebie męża, wdowa Wierzbowska gorąco dziękowała opatowi z Łądu — Madalińskiemu za piękną mszę, w której śpiewał „jak dzwony-szek”.

— Fraszka dzwon — odrzekł opat — ale gdybyś waćpani serce tego dzwonu widziała, podobalby się lepiej!

Rajcowie jednego miasta pisali do drugiego:

— Pożyczcie nam szubienicy! Złapaliśmy złoczyńcę.

— Nie damy — tamci odpisali — bo mamy ją wyłącznie dla siebie i naszych dzieci.

Kupił chłop buty, a dla oszczędności szedł pieszo. Nadeptnął na gwóźdź.

— Dobra nasza! — zawołał. — Gdyby był but trafił na gwóźdź, byłoby po nim, a noga się wyleczy.

Do ojca Jana III chętnie z wielką szkap i z wielką pacholówką goście przyjeżdżali i po kilka dni siedzieli. Jakub Sobieski zaczął wzuwać buty.

— Co też waszmość dobrodzieju robisz?

— Gdy wy — odrzekł — nie chcecie ode mnie, to ja muszę od was odejść!

JAKIE SZKOŁY BUDOWAĆ?

Dziennikarz: Niewiele było w historii naszego narodu hasel, które chwyciły tak mocno jak Gomulki „Tysiąc szkół na Tysiąclecie”. Realizacja tego zawołania nie ogranicza się tylko do zbiorów pieniężnych, ale sądzę, że także architektów stawia przed nie lada problemem. Właśnie pod adresem architektów i innych czynników kierujących budownictwem szkół mam pewien dość istotny postulat. W telegraficznym skrócie wygląda on tak: trwałość obecnie budowanych szkół obliczana jest mniej więcej na 100 lat. Tymczasem już za 30 lat okaże się, że budowane dziś szkoły, nawet te najnowocześniejsze, są przestarzałe i nie odpowiadające wymogom roku 1990. Czy wobec tego nie byłoby praktyczniej przynajmniej tam, gdzie są możliwości terenowe, zaniechać wznoszenia solidnych gmachów szkolnych i zastąpić je lekkimi, tańszymi, łatwiejszymi do wybudowania pawilonami, jak to coraz szerzej stosuje zagranica?

Architekt: Sprawę, którą poruszyłeś, można by porównać do problemu komunikacji w dużych miastach. Może pomyślisz, że przesadzam, ale nie wykluczam możliwości, że ogromny wzrost ruchu kołowego w miastach zmusi urbanistów do burzenia za 20 do 30 lat tego, co jeszcze w tej chwili nie jest wybudowane. Oczywiście, nie wszystko, ale na pewno wiele domów mieszkalnych padnie ofiarą komunikacyjnej ekspansji. Po znaniowi grozi to tym bardziej, bo nie ma jeszcze gotowego aktualnego planu urbanistycznego. Podobnie rzecz się ma ze szkolnictwem. Obecnie budujemy szkoły w zasadzie dostosowane do przedwojennych programów nauczania. Tymczasem nasza technika dokonała olbrzymiego skoku. Pociąga to za sobą konieczność politehnizacji szkoły podstawowej, która przecież winna dać absolwentowi jako-takie przygotowanie do życia.

Dziennikarz: A więc w pewnym sensie uznajesz moje racje. Jeżeli w ciągu 20 lat poszliśmy tak bardzo naprzód, to chyba nie ma powodu wątpić, że jeszcze większego postępu dokonamy w ciągu 20 następnych lat. Czyli: budujemy takie szkoły, którym za 30 lat będziemy mogli bez żalu powiedzieć: „wzstąpiłyście się dosyć, teraz kolej na rozbiorke”. Leniej więc budować szkoły-pawilony dla, przy-

Rozmowa dziennikarza z architektem, która może stać się początkiem interesującej i na pewno potrzebnej dyskusji. W roli architekta wystąpił mgr inż. arch. Stefan Zieleskiwicz, w roli dziennikarza — red. Marian Flejsierowicz.

puścimy, 150 000 dzieci, niż tym samym kosztem solidne gmachy tradycyjne dla 80 tys. uczniów.

Architekt: Trudno mi powiedzieć, czy akurat tak wyglądają proporcje, ale jedno jest pewne: prawie nie ma w tej chwili u nas szkół, które by mogły bez kłopotów przejąć wszystkie obowiązki — z punktu widzenia funkcjonalnego! — wynikające z politehnizacji programu nauczania.

Dziennikarz: Na temat konieczności unowocześnienia budownictwa szkolnego, zrewanowania z tradycją, pisano już wiele. Pamiętam w „Expressie Wieczornym” artykuł, którego autor chwali nowe doświadczenia projekty (kilkanaście zostanie w kraju zrealizowanych). Klasy mają tam kształt zbliżony do kwadratu, powierzchnia rekreacyjna jest o 40 proc. większa niż w szkole tradycyjnej, lepsze nasświetlenie, itp. Kubatura 15-klasowej szkoły wynosi 13,5 do 14 tys. m³ (tradycyjna 12 do 12,5 tys. m³), co wcale nie wpłynie ponoć na koszt, bo

Architekt: Czekaj! Przy 2 kondygnacjach można by pierwszą zrobić solidnie, a drugą lekką i taną. Jak to ma zalety? Kontakt dziecka z dziedziniec jest niemal bezpośredni. Hasło „dziecko wychodzi z murów” ma prawdziwe zastosowanie. To jest poważna zaleta wszystkich w ogóle niskich szkół. 2 kondygnacje w zasadzie wyrównują też normatywy powierzchni zabudowy, nawet w Poznaniu.

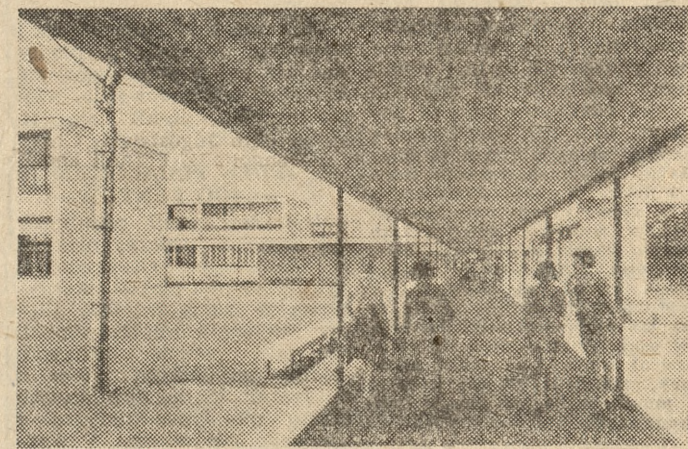
Dziennikarz: Trudności sprawiają nam tylko obliczenia ekonomiczne. Nie możemy od razu odpowiedzieć na pytanie: czy się opłaca? Myślę, że mogliby tutaj dać odpowiedź architekci, ekonomiści, wykonawcy, czy też inwestorzy.

Architekt: Chyba chętni do dyskusji się znajdują, tym bardziej że w tej chwili — o ile wiem — są w Poznaniu opracowywane projekty szkół 2-kondygnacyjnych. Zresztą problem jest w tej dziedzinie bardzo dużo. Np. izba lekcyjna to temat sam w sobie do omówienia. Klasa szkoły podstawowej niedalekiej przyszłości nie powinna liczyć więcej niż 25 uczniów...

Dziennikarz: Ale to są tylko pobożne założenia...

Architekt: Pewnie. Tylko nauczyciel w upolitechnizowanej szkole będzie musiał prowadzić dużo ćwiczeń i pokazów. Nie opanuje więc większej grupy. Z tym się mimo wszystko też trzeba liczyć. Poza tym budujemy szkoły podstawowe, zapominając o średnich, do których za rok-dwa, przejdzie fala najliczniejszych roczników.

Dziennikarz: Słowem — tysiąc szkół na nasze potrzeby to wcale niedużo. Dziękuję bardzo za rozmowę. Mijmy nadzieję, że doczekamy się jakichś efektów naszego dialogu.



Tak wyglądają szkoły-pawilony (według szwajcarskiego czasopisma „Bauen und Wohnen”).

budowa wymaga mniej materiałów. Jeden metr sześcienny szkoły tradycyjnej waży od 380 do 480 kg, a szkoły nowej — około 220 kg. Tyle „Express”. Owszem, postępek jest, ale ja chciałbym pójść dalej. Chciałbym, żeby architekci i inwestorzy zupełnie wyszli z tradycyjnych ram i utartych — przynajmniej w Polsce — konwenansów. Proponowałbym pawilony. Teraz tylko kwestia, czy ekonomicznie to się opłaca. Czy w naszych warunkach i możliwościach materiałowo-technicznych budowa szkoły-pawilonu, zdolnej do eksploatacji przez 30 lat, nie pochłonie takiej samej sumy, jak budowa szkoły tradycyjnej, mogącej stać (bo chyba nie służyć szkolnictwu) 100 lat.

Architekt: Może sobie skonkretyzujemy, co ty nazywasz pawilonem. Bo pawilony mogą być 1-, 2- a nawet 3-kondygnacyjne. Duża, 15-klasowa szkoła może na przykład składać się z 3 pawilonów 3-kondygnacyjnych połączonych korytarzami.

Dziennikarz: Masz rację. Prawdę mówiąc od tego powinniśmy zacząć. Pawilon musi dać jak największe oszczędności i finansowe, i materiałowe. Wobec tego chyba 2 kondygnacje, elementy tanie...

Architekt: Zgoda. Ale jak sobie te pawilony wyobrażasz? I czy one są rzeczywiście ekonomiczniejsze?...

Dziennikarz: Raczej ty, jako architekt, mi to powiesz. Chyba prefabrykaty.

W świecie nauki i techniki

CZY MOŻNA HODOWAĆ METALE?

Nad technologią wytopów, nad nowymi metodami, które zwiększyłyby wydajność hutnictwa, pracują liczne zakłady i instytucje naukowe na świecie. M. in. uczeni zajęli się ostatnio tzw. biometalurgią, czyli możliwościami wydobycia metali z roślin lub żywych istot, koncentrujących w sobie metale. Specjaliści dowodzą przy tym, że np. german, wydobywany obecnie z popiołu węgla (w Polsce — z popiołów pozostających na paleniskach po węglu z kop. „Brzeszcze”) zawdzięczamy pradawnym roślinom, które przed przetworzeniem się w węgiel ten pierwiastek umiały koncentrować.

Znane są wodorosty zawierające 0,032 proc. tytanu. Pewien gatunek żuków — (tzw. gnojowce), koncentrują w swych ciałach 0,0049 proc. tego metalu. Ten niski procent nie odstrasza naukowców, gdyż np. przy wydobyciu rozproszonego złota uważa się za opłacalną nawet rudę o zawartości 0,00001 proc.

STAWY KOSTNE Z NYLONU

Pewien pianista amerykański odniósł w czasie katastrofy samochodowej tak poważne uszkodzenie stawu palca, że cały palec trzeba było usunąć. W klinice jednak chirurdzy zastąpili usunięty staw kostny — takim samym, wykonanym z nylonu. Okres leczenia trwał kilka tygodni, po czym ręką artysty pozostała pełnosprawna. (K)

SKRYBA



— Niech tatuś nie wykorzystuje tego że mamy nie ma w domu i nie podnosi głosu...

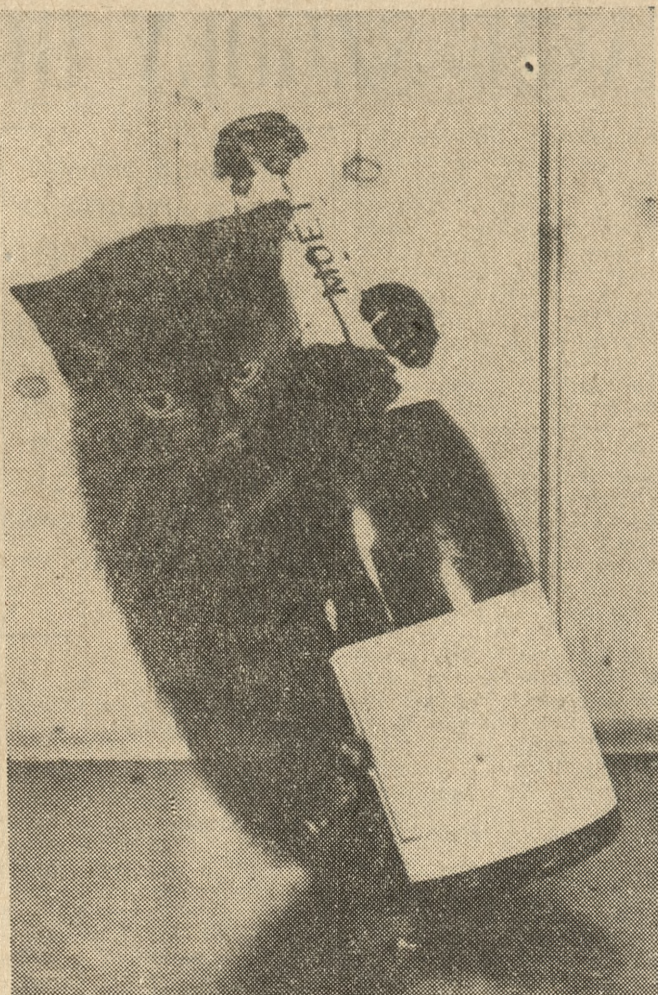
Dziwaczne pomniki

Godny podziwu pomnik znajduje się w Luksemburgu. Postawiono go na cześć...prosięcia i opatrzone napisem: „Wędrowcze, wspomnij tutaj śmiertelne szczątki prosięcia, które zyskało sobie nieśmiertelną sławę, gdyż odkryło luksemburskie źródła lecznicze”.

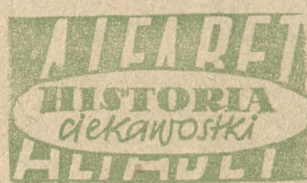
Pomnikiem, którego budowa trwała najdłużej, nie jest bynajmniej pomnik A. Mickiewicza w Poznaniu, lecz kolumna Nelsona na Trafalgar Square w Londynie. Jej budowa trwała 29 lat.

Amerykański rzeźbiarz John Browning wykonał rzeźby naturalnej wielkości wszystkich kobiet, które kiedyś kochał i stracił. Gdy wykonał swoje dzieło, wystawił wszystkie rzeźby na sąsiednim cmentarzu.

Przed kilkunastu laty wystawiono w Wembley (Anglia) posąg księcia Wali... z masła. Dowiedziawszy się o tym sławny dramaturg G. B. Shaw powiedział z sarkazmem, że należałoby więcej londyńskich pomników stawiać z tego materiału, żeby szybko rozpuściły się na słońcu... (tj)



Dlaczego zamieszczacie tak rzadko zdjęcia kociaków? — pyta nas w liście jeden z Czytelników. Rzeczywiście. I dlatego — bardzo prosimy, kociak jest rasowy, w dodatku — jak widać — lubi wypić... CAF



MSZCZYCZYN w pow. śrem skim już zanotowany był w r. 1405. Podobno od imienia Mszczyca. A może od zemsty? Dajmy jednak pierwszeństwo etymologom. W podanym wyżej roku mieszkała tu „Szczichna Mszczyczńska”, 23 lata później — Henric Joh. de Mschyczyno. Potem to Mschyczyno zamieniło się w Mschyczyno (1428 r.), w Mschyczyno (1470), w Mszczyczino (1586) i w Mszczycin (1821).

MUCHA albo MELMUCH — to nazwa młyna pod Margoninem. Nie wiem, czy obecnie jeszcze istnieje, i czy taką nosi nazwę. Chyba od charakterystycznego szumu, przypominającego brzęk skrzydeł muszki.

MURZYNOWO LESNE, dawniej Borowe, w powiecie średzkim. Znalazłem najstarszy zapis o tej miejscowości z r. 1471. St. Kozierowski w swoich nazwach topograficznych mówi, że nazwa od Murzyna; a nie od muzyka (chłopa), a może od murowania? Przypatrzmy się rodurowodowi innej wsi o tej samej prawie nazwie i w tym samym leżącej powiecie:

MURZYNOWO KOSCIELNE — w r. 1231 nazywało się Murinow ecclesiae, w r. 1393 — Murzynowa. Można by więc zgadywać, skąd ta nazwa, ale kto rozsądzi? Dodam tylko, że istniało jeszcze Murzynowo Polne (1571 r.) i Murzynowo Węskie, zwane także Cukierowem (1491), gdzieś koło Dębicza.

MYCIELIN w pow. krotoszyńskim powstał w końcu XVI albo na początku XVII wieku. Mycielscy, którzy dzierżyli pobliskie Borzęcizki, tak nazwali tę osadę. A ich nazwisko? Od innego Mycieli — w powiecie kaliskim, a ten Mycielin? Od wody deszczowej, naddającej się do mycia.

MYJE — wieś pod Ostrzeszowem, bardzo młodzieńca, bo dopiero zapisana w r. 1821 — jako Meja.

MYJOMICE w pow. kepickim powstał w r. 1360 było Myjomice, a w r. 1437 — Myjomycami. Od strugi Myi, lewego dopływu Warty. Do XVI wieku mieszkali tu Myjomscy, od 1580 do XIX wieku — Weżykowie. (jp)

fantazja CZY RZECZYWISTOŚĆ?

MONSTRUM i... KARZEŁKI

(Opr.: Andrzej Trepka)

Do najbardziej dramatycznych rzekomych spotkań z „istotami spoza naszej planety” zaliczyć można słynną sprawę „monstrum w Sutton”.

12 września 1952 r. w miejscowości Sutton (Wirginia Zachodnia) tysiące osób było świadkami przelotu błyszczącego dysku. Obniżał się on po linii skośnej i sprawiło wrażenie, że musiał wylądować w dolinie, tuż za miastem.

W tym przekonaniu p. Kathleen May z trzema synami oraz towarzyszącym im Genne Lemon, udali się na poszukiwanie miejsca przypuszczalnego lądowania.

Gdy schodzili ku dolinie — jak twierdzą — natknęli się na przerażającego potwora. Był wzrostu 2,75 m, pot obficie ściekał mu po olbrzymiej twarzy, a zle blyski w oczach rozstawionych w odległości około 30 cm dopełniały widoku nieopisanego grozy. Potwór z jakimś niewyraźnym swistem ruszył ku nim. Wówczas wszyscy pięcioro rzucili się do panicznej ucieczki.

Trzej bracia niezwłocznie po zajęciu dostali silnej gorączki i mieli opuchnięte gardła. Na ich twarzach oraz odzieży znaleziono krople jakiejś nieznanej olejistej cieczy. Genne Lemon rozchorował się jeszcze silniej — dostał nawet konwulsji. Wezwany lekarz stwierdził objawy zatrucia gazem musztardowym.

Po dokonaniu urzędowej inspekcji terenu stwierdzono, że jakieś lądowanie odbyło się tam rzeczywiście. Ponadto znaleziono kawałki czarnej masy plastycznej, stanowiącej dla uczonych zupełną zagadkę.

Również astronom M. K. Jessup cytuje opis spotkania z tzw. ludźmi z przestrzeni kosmicznej.

W 1956 r. pewnego wieczoru dwaj kupcy jechali samochodem w kierunku Careas (Wenezuela). Nagle spostrzegli w świetle reflektorów trzy drobne istoty zajęte jakby zbieraniem ziemi w pobliżu szosy, ponad którą na wysokości kilku metrów nieruchomo spoczywał w powietrzu wielki jaśniejący dysk.

Kupcy wysiedli z samochodu i pobiegli w stronę karzełków, oświetlając ich latarkami. Jeden mały człowieczek skierował ku napastnikom jakiś dziwny przyrząd. Wywołało to jedynie reakcję psychologiczną, na arenie wypadków pozostał bowiem tylko jeden kupiec, widocznie odważniejszy. Chwycił on małego człowieczka za kołnierz, usiłując zatrzaskić go do samochodu. Wtedy uczuł silne pderzenie w żebra. Gdy dobywszy noża, pchnął nim karzełkę, skonstatował z przerażeniem, że ostrze ześlizgnęło się jak po kamieniu.

Przerażony kupiec rzucił się do ucieczki. Tymczasem dysk obniżył się tuż nad ziemię, a gdy karzełki zdążyły wskoczyć do jego wnętrza, wzbił się pionowo w górę. Uczestników niezwykłego zajścia odstawiono do szpitala. Lekarze stwierdzili u obydwu silny wstrząs nerwowy. Dochodzenie ustaliło, że żaden z nich nie był pijany.

A oto inna relacja:

10 października 1957 r. oficer marynarki hiszpańskiej inż. Espanhol, jadąc ciężarówką w rejonie

nie Ceres (Brazylia) w odległości trzech mil od wsi Quebra-Coco polecił kierowcy obserwować silne światło bijące z nad wzgórza, do której się zbliżali. Kiedy samochód osiągnął szczyt jednego ze wzgórz, w odległości około mili ujrzał wielki świecący obiekt nieruchomy w niebie, który jaskrawo oświetlał znaczną powierzchnię terenu.

Nagle kierowca stwierdził z przerażeniem, że wóz jest unieruchomiony. Wszelkie próby zapalenia silnika spełzyły na niczym.

Nieznany obiekt krążył przez pewien czas nad samochodem aż zatrzymał się w odległości kilkudziesięciu metrów, wisząc na wysokości około sześciu metrów. Zgasił wszystkie światła z wyjątkiem błyszczącego czerwonego punktu na antenie, wznoszącej się około czterdziestu metrów ponad kopułą.

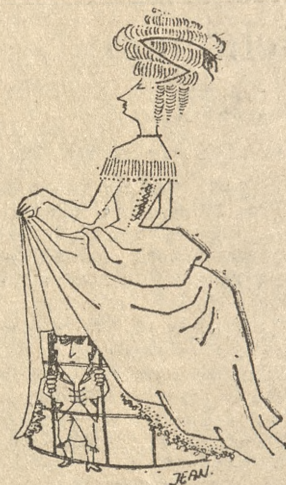
Nagle rozsunęły się drzwi, prawdopodobnie automatyczne i światło ujrzał w nich dwie sylwetki o ludzkich kształtach. Mieli długie włosy, a szaty ich imitowały blask na wysokości klatki piersiowej. Za nimi pojawiły się następne, w końcu stódmka spacerowała po rampie, która oddzielała dolną część pojazdu od wierzchniej kopuły.

Tajemnicza załoga tajemniczego statku najwidoczniej obserwowała samochód. I nawzajem inż. Espanhol przyglądał się obiektowi w czasie, gdy szofer daremnie próbował wprawić silnik w ruch. Latający talerz, wciąż nieruchomo spoczywający nisko nad ziemią, miał średnicę około 150 metrów przy 40 metrach wysokości. Był kształtu nieregularnie owalnego, gdyż część górna nieco wydłużała się u podstawy anteny.

Po tej milczącej obserwacji załoga powróciła do wnętrza statku i drzwi uległy zasunięciu. Latający spodek wzbił się na wysokość około pół kilometra, po czym wypuścił mały dysk, który oddalił się ku północy, podczas gdy jego wielka latająca baza obracała kurs na południe, wkrótce znikając w oddali.

W tym czasie kierowca bez żadnych przeszkód uruchomił silnik samochodu.

CIĄG DALSZY ZA TYDZIEŃ



Bez słów

CENA POCAŁUNKU

Rozwiązanie krzyżówki



Nagrody książkowe za nadesłanie trafnych rozwiązań ostatniej krzyżówki otrzymują (przez pocztę):

Tadeusz Muras, Poznań, ul. Słowackiego 12 m. 7, Dyonizy Chojnacki, ul. Kniewskiego 20 m. 24, Halina Łeszyk, ul. Chocińskiego 54/2, Halina Nowak, ul. Dąbrowskiego 123, Melania Grudniewska, Koszalin, ul. A. Czerwonej 53 (Muzeum), Celina Borowak Leszno, ul. Leszczyńskich 3 m. 7, Stanisław Czajka Krotoszyn, ul. A. Czerwonej 23 (PLP).

Jednocześnie w imieniu autora krzyżówki przepraszamy za błąd: 34 poziomo miało oznaczać „postać z legendy greckiej” (Edyp), a nie „bajkopisarz grecki” (Ezop).



Bez podpisu

Sędziowie, którym nic co ludzkie nie jest obce, zajmują się bardzo często tym delikatnym tematem. Najwięcej spraw o pocałunek rozpatrują sędziowie amerykańscy i angielscy.

Pewnego razu zjawił się w sądzie młody mężczyzna i jeszcze młodsza dziewczyna. Byli już od dwóch lat zaręczeni, gdy młody mężczyzna zakończył się w innej i wkrótce się z nią ożenił. Zawiódł tym wszelkie nadzieje swej byłej narzeczonej i ta wniosła na niego skargę do sądu. Mimo innych odszkodowań zażądała również odszkodowania za pocałunki, którymi kiedyś uszczęśliwiała swego narzeczonego.

Każdy pocałunek wyceniła sobie na 1 dolara, a ponieważ twierdziła, że swego byłego narzeczonego całowała najmniej dziesięć razy dziennie, zażądała odszkodowania w wysokości 7.300 dolarów. Sędzia jednak cenił jej pocałunki o wiele taniej. Motywując to tym, że przy tak ogromnej ilości pocałunków oskarżycielka musi się zadowolić 10 centami za jeden pocałunek, zasądził jej od zdrażdzieńko młodziźana — 700 dolarów odszkodowania.

JEDEN POCAŁUNEK — 400 FUNTÓW

Najwyżej ocenił pocałunek sąd angielski podczas procesu w Manchester. Oskarżonymi byli dyrektor i piękna nauczycielka ze szkoły żeńskiej. Płonąc wzajemną miłością wpadli na taki pomysł: zadawali swoim uczniom prace i opuszczali klasy, aby w tym czasie spokojnie korzystać z upojnego sam na sam. Pewnego razu, jedna z uczennic podpatrzyła ich gdy się całowali. Oczywiście przywołała swoje koleżanki, a potem wszystkie opowiadały o tym w domu. Następnego dnia były fatalne. Rozgorzyceni rodzice wniosli skargę do sądu przeciwko dyrektorowi i nauczycielce, a sąd orzekł, że swoim uczynkiem wywołali oni zgorszenie publiczne, że dawali złý przykład uczniom. Ponieważ oboje oświadczyli, że mają zamiar pobrać się w najbliższej przyszłości, zapłacili więc 400 funtów szterlingów kary.

RACZEJ SIĘ OŻENIE...

Bardziej dotkliwie został ukarany pewien lekarz z Chicago, który flirtował dłuższy czas z młodą damą. Zachowywał się w stosunku do niej bardzo powściągliwie; jednak pewnego dnia, gdy ujrzał swą przyjaciółkę w nowej letniej sukni, nie wytrzymał i pocałował ją. Pech chciał, że widziała tę scenę przechodzącą właśnie obok sąsiadka młodej dziewczyny; już na drugi dzień



Księżniczka Micozko złożyła pierwszą wizytę w swym domu rodzicielskim po ślubie z następcą tronu Japonii księciem Akihito, który odbył się 10 kwietnia br. Wizyta ta jest jeszcze jednym złamaniem wieloletnich tradycji cesarskiej Japonii, gdyż dotychczas żaden małżonek panującego nie mógł odwiedzać po ślubie swej rodziny. Fot. — CAF

ZAWIĘTA PIERWSZA RANDKA

Ciekawym przypadkiem zajmował się sąd w Budapeszcie. Panna Anna T. poznała na cmentarzu bardzo dystyngowanego pana. Przechadzali się wspólnie i mężczyzna ten zwierzył się jej, że byłby bardzo szczęśliwy, gdyby znalazł godną następczynię swojej zmarłej żony. Panna Anna zgodziła się z nim spotkać. I zaraz na pierwszej randce pozwoliła się strapienemu wdowcowi pocałować. W krótkim czasie ich wzajemne stosunki przybrały jeszcze bardziej intymny charakter, ale koniec był smutny. Panna Anna zaskarżyła swego przyjaciela do sądu o niedostatek wianu obietnicy małżeństwa i zażądała odszkodowania. Sąd jednak odrzucił jej skargę wyjaśniając w sentencji wyroku, że były kochanek nie ma w stosunku do skarżącej żadnych zobowiązań, ponieważ dziewczyna, która całuje się z mężczyzną na pierwszej randce, sąd nie może uznać za porządną i stanąć w jej obronie...

Ostatnią wiadomością na ten temat jest ciekawostka, którą podajemy za „Expresses Poznański”. Otóż przed sądem londyńskim stanęła para narzeczonych, oskarżona o to, że... pocałowali się w taksówce. Oskarżycielem był policjant, przypadkowy świadek pocałunku. Sędzia wydał wyrok: uniewinniający, narzeczeni muszą jednak pokryć koszty sądowe (kilkadziesiąt funtów). Oczywiście — oburzenie publiczności zwróciło się przeciwko nadgorliwemu policjantowi... (t b)



Doroczny Festiwal w Cannes zakończył się przyznaniem „Złotej Palmy” filmowi francuskiemu „Czarny Orfeusz”. Z polskich — krótkometrażówka „Zmiana warty” otrzymała nagrodę za oryginalną formę. Najlepszą aktorką uznano S. Signoret. Oczywiście — festiwal był zjazdem reżyserów, producentów i gwiazd z całego świata. Na zdjęciu u góry widzimy sympatyczną Pasalet Petit (z lewej) w towarzystwie Charles Aznavour'a i Mylène Demongeot. Na zdjęciu obok — znany reżyser włoski R. Rossellini ze swą ostatnią egzotyczną żoną.



A oto Jenny Orléans, popularna na scenach i w telewizji francuskiej. Przyozdobiona monstrualnymi bućkami i rękawiczkami, przekonującą parodiowała zwyczaje najrozmaitszych gwiazdek, zjeżdżających rokrocznie do Cannes.

